Nr. 16. Poznań, dnia 15. Kwietnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

JÓZEF KORZENIOWSKI

I WYDAWNICTWO DZIEŁ JEGO.

(Z ryciną.)

W rzędzie wysokich talentów pracujących u nas od lat stu na polu literatury pięknéj, talent Józefa Korzeniowskiego zajmuje jedno z miejsc najzaszczytniejszych. Prace jego w dziale powieści a zwłaszcza dramatycznym stworzyły mu wielką i nieśmiertelną kartę w dziejach literatury ojczystéj; u współczesnych jednak życie i śmierć a nawet pomniki które po sobie zostawił, przeszły, nieledwie powiemy niepostrzeżenie. Przyczyny tego szukać należy w okolicznościach odbierających albo popularność, albo w obec żywych dramatów narodu stawiających najzasłużeńsze imiona na drugim planie. Życiu Józefa Korzeniowskiego towarzyszyła pewna obojętność pochodząca z zajmowanego stanowiska w rządzie znienawidzonym i wywołana kilkoma zimniejszemi od pojęć ogólnych zdaniami w powieściach jego wypowiedzianemi; śmierć przypadła w roku 1863, w chwili kiedy naród myśli i uczucia tylko ku wywalczeniu niepodległości zwrócił. Dziś zaledwie, w ośm lat po śmierci wydobyto z zapomnienia imię i pracę tego, który całe życie z czystą wiarą i z talentem dla ojczyzny poświęcił.

Lewental, wydawca „Kłosów", powziął szczęśliwą myśl wydania wszystkich dzieł Korzeniowskiego i wydawnictwo to z początkiem bieżącego roku rozpoczął. Nim przystąpimy do ocenienia prac i wartości wydawnictwa, uważamy za stosowne choć w krótkich ramach skreślenie życia jednego z najzasłużeńszych powieściopisarzy i dramaturgów polskich.

Szkic ten nie będzie wyczerpującym; poważniejsze imie wypowiedziało już prośbę o skupienie w jedne ręce wiadomości o życiu i pracach Józefa Korzeniowskiego, o zebranie rozproszonych po świecie notatek, listów i wspomnień bliższych z nim osobistych lub literackich stosunków, ale na nieszczęście prośba ta tylko w części uwzględnioną została. Tak więc z ogłoszonych dotąd materyałów nie wiele skorzystać możemy; to jednak co mamy pod ręką wystarczy do skreślenia choć w ogólnych rysach życia zasłużonego w literaturze naszéj męża.

Józef Korzeniowski urodził się dnia 19. Marca 1797. w Brodach w Galicyi. Pierwsze lata życia spędził w pobliskim i w pięknéj okolicy położonym folwarku, należącym do ojca Józefa. Pan Lewestam ogłosił niektóre własnoręczne ustępy z listów pisanych przez Józefa Korzeniowskiego do księdza *** we Lwowie, malujące dokładnie pierwsze wrażenia lat dziecinnych naszego dramaturga. W przekonaniu, że one najlepiéj chwile te oddają, dzielimy się niemi z Czytelnikami.

„Co późniéj było", mówi Korzeniowski, „widzę jak przez mgłę; co wówczas, w téj epoce pierwszego dzieciństwa, widzę tak żywo, tak jasno, jakby to było wczoraj. Ten folwarczek, w którym wychowałem się, który wówczas nie miał żadnego nazwiska, a po wyniesieniu się ztamtąd moich rodziców w r. 1815. musiał zapewne być nazwany Korzeniówką, rysuje się w pamięci ze wszystkiemi budynkami, ze wszyst-

kiemi drzewami ogrodu, z całem obejściem, otoczonem laskiem, gdziem się tyle nabiegał i naswywolił; ta droga piasczysta, która prowadziła z jednéj strony do Brodów, z drugiéj do Podkamienia i Załosic, to miasto żydowskie, którego ulice wszystkie i budynki stoją mi przed oczami, ten kościół gdziem tyle razy do mszy służył, nawet ta budka z doskonałemi bułeczkami, która była między kościołem i probostwem, zkąd jeszcze teraz dolatuje mnie zapach świeżych bułeczek i albanki, razem pomięszany — wszystko to przerzucą mię jak laską czarodziejską do owego czasu i pięćdziesiąt kilka lat zdejmuje mi z barków.

„Nie wiem czy rogatka, zamykająca wolne miasto Brody, stoi na dawnem miejscu. Była ona może o trzysta kroków za budynkiem dużym, w którym w ówczas znajdowała się waga, i który musi stać dotąd, bo był murowany i fundamentalnie zrobiony. Otóż wjeżdżając do miasta, przed samą rogatką na lewo, była brama prowadząca na dziedziniec duży, na którym stał dawny folwark ekonomii Brodzkiéj. Tam urodziłem się 19. Marca 1797 r. z ojca Wincentego i matki Klary z Winklerów Korzeniowskich. Co się potém z tym domem zrobiło, już nie pamiętam, wiem tylko że ekonomia przeniesioną została o dobre ćwierć mili od rogatki, na samem szosse prowadzącem do Ponikwy, a rodzice moi w r. 1799. przenieśli się do własnego folwarku, w téj saméj odległości od rogatki, co ekonomia, ale na ćwierć mili lub więcéj od szose na lewo, na drodze wiodącéj do Podkamienia. Było to śliczne i wygodne mieszkanie szlacheckie, z ogrodem dużym, pełnym drzew fruktowych, mającym wielką szparagarnię i mnóstwo specyałów w różnych fruktach i jagodach, na których wspomnienie i teraz mi ślinka do ust przychodzi. Zabudowania gospodarskie były obszerne i wszystkie na nowo przez ojca mego wystawione. Wszystko to otaczał śliczny lasek, z prawéj strony sosnowy, a za ogrodem dębowy, zielony, pełen woni i głosu ptaków. Z trzech stron lasek ten otoczony był naszemi polami, a z jednéj gdzie był widok na wzgórza, należące do Ponikwy i okryte brzozowym lasem, była dość obszerna łąka, gdziem nieraz do potu gromadził siano i ściągał je w kopy.

„Możesz pan wyobrazić co to był za raik, dla dzieci żywych i zdrowych, prowadzonych nie grozą, ale miłością — mających wszystko, czego dziecinna duma zapragnęła: opiekę rozumną, a nie ciężką, wygodę i dostatek wszelkich łakoci, pole do biegania i swywoli w lasku, który był tuż za bramą, gdzie była swoboda, gdzie był cień i tyle ptaszków, które uczyły mię zawczasu śpiewać, i za dary życia dziękować dawcy wszystkich darów, jakiemi człowiek cieszy się na ziemi.

„Tam przepędziłem lata dziecinne do ósmego roku życia. Ojciec i matka sami nauczyli mię czytać i pisać, a potem przygotował mię do szkół niejaki Pan Filipowicz, którego fizognomię doskonale pamiętam, który skończył kursa filozoficzne we Lwowie, ale zakochawszy się w córce pewnego mularza z Jurydyki Brodzkiéj, który u mego ojca coś murował, i odwiedziny córki swéj odbierał, rzucił w kąt filozofię austryacką, dał za wygranę pedagogii i dla miłości dziewczyny został sam mularzem, gdyż inaczéj dostać jéj nie mógł. Mówił mi późniéj mój ojciec, że dobrze natem wyszedł ów Filipowicz, wyuczywszy się prędko sztuki mularskiéj, i zyskawszy w krótce reputacyę i lepszy byt, niżby mu była dała filozofia austryacka.

(C. d. n.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Skutkiem otwarcia oczów p. Ostójskiemu, rozmowy jego z Zosią i rozbudzonéj uwagi obojga było, że między pałacem a folwarkiem stosunki nieco ostygły; a raczéj ostróżniejszemi się stały. Był to jedyny sposób wszakże, mówiąc po staremu — podbicia bębenka hr. Edmundowi, który o ile był zdolnym się zakochać, w Zosi się zakochał. Matka mu bynajmniéj nie przeszkadzała może z wielką przebiegłością niewieścią, obrachowawszy iż przeszkody spotęgowują miłość a dany jéj bieg wolny, prędzéj ją wyczerpuje. Hrabina należała zresztą do tych pieszczonem życiem zobojętniałych istot, które unikają wszystkiego co im pokój i używanie czémkolwiek zakłócić może. Była nawet dobrą i łagodną dla tego najbardziéj, ażeby się nie irytować i nie ściągać sobie niepotrzebnych kłopotów. Ilekroć Edmund mówił przed nią o Zosi odpowiadała mu: Jesteś już pełnoletnim, masz rozum, rób jak uważasz lepszém dla ciebie, ja ci nic nie narzucę... Ludzie się żenią dla siebie, powinni się żenić sami. Nie będę kryć przed tobą, iż świetną partyę znaleść byś potrafił, przy stosunkach jakie bierzesz po nas w spadku — Mais, c'est votre affaire!

I odwracała rozmowę na inny przedmiot. Hr. Edmund tymczasem czuł się coraz więcéj opanowanym wrażeniem jakie na nim Zosia, sama o tém nie wiedząc czyniła. Gdy parę dni tylko jéj nie widział biegł sam na folwark, wciskał się gwałtem i godzinami tam przesiadywał. P. Klara, nie dając po sobie poznać tego, sprzyjała naturalnie miłości, którą uważała za nadzwyczajne szczęście dla Zosi i domu. Ostójski był grzeczny a zimny. Ale jego najczęściéj niezastawał odwiedzający na folwarku. Największą przeszkodą dla hr. Edmunda była wesołość Zosi, która śmiejąc się ze wszystkiego nic na seryo brać nie chciała, i ten nieszczęśliwy Margocki, który albo na folwark go wyprzedził, albo go tam dognał... albo z drogi już czémś odciągnął.

Prowadził on to bardzo zręcznie, złapać go nie było

podobna na umyślném zabieganiu — wytłomaczył się zawsze, przecież... licho go wniosło niepotrzebnie, gdy hr. Edmund najmniéj się spodziewał.

Jednego wieczoru zasiadł się był tak gość w najlepsze pod pozorem że życzy sobie Ostójskiego doczekać, czemu p. Klara wcale nie była przeciwną, gdy przez okno na drodze do pałacu wiodącéj ukazał się powóz podróżnemi tłomokami i kuframi obładowany. Ponieważ się nikogo z gości w pałacu nie spodziewano, hr. Edmund chwycił aż lornetkę żeby powóz lepiéj rozpoznać i dopatrzył tylko tego, że na kufrach był futerał od męzkiego kapelusza, co zwiastowało przybyłego mężczyznę.

Kto to być mógł, głowę sobie łamał, ale bądź co bądź, czuł się tam potrzebnym i rad nie rad, przeklinając natręta, musiał ciocię i Zosię pożegnać. Pobiegł sam do pałacu, wiedząc że matka by przysłała po niego.

Na drodze spotkał zadyszanego Margockiego.

„Biegłem właśnie po pana hrabiego.“

„A! gość jakiś, przeklęty natręt.“

Margocki się roześmiał, biorąc za boki.

„No, któż to taki?“

„Stary hrabia!“

Młodemu hrabiemu ręce opadły... Ze wszystkich natrętów ten może, choć się go nazwać tak nie godziło, był najniebezpieczniejszym. Łacno się téż domyślał każdy co niespodzianie sprowadzało hrabiego dzielącego się między Wiesbadenem a Ostendą do domu. Musiał odebrać wieść że żona wyruszyła ssać dochody, że syn tam był także i w trwodze ażeby mu nie zagarnięto potrzebnych funduszów na przebycie zimy w Nicei i Monaco, pospieszał i on na plac boju. Interesowani łatwo się tego mogli domyśleć i można sobie wyobrazić jak mu byli radzi. Stosunki pana domu z żoną i dziećmi, były nader przyjazne, serdeczne na pozór, ale najobojętniejsze w świecie. Całemi latami nie widywali się z sobą, spotykali jak dobrzy starzy znajomi, mówili nie dotykając nigdy kwestyi drażliwych, w interesach traktowali z sobą przez trzecie osoby, witali mile, rozstawali przyzwoicie. Dla zachowania téż téj przyzwoitości pisywano do siebie listy pełne do niczego nie obowięzującéj czułości, najśliczniejszą francuzczyzną, nigdy nie tykając interesów. O tych uwiadomiony był plenipotent, który musiał często nader ostro przed nim występujące strony godzić, zbliżać i sądzić. W chwili gdy często najzaciętsza była walka o pieniądze, których wiecznie wszyscy potrzebowali więcéj niż mieć mogli, listy ceremonialne tchnęły najwykwintniejszą czułością.

Hrabia był o wiele starszym od żony, ale utrzymywał się przy pozorach pewnéj siły i rzeźwości prawie młodzieńczéj środkami od anglików wyuczonemi. Słusznego wzrostu, szykowny, grand seigneur w każdym ruchu i słowie, twarz miał chudą ale jeszcze piękną, włosów siwych nie farbował, ani się z niemi taił, ale je utrzymywał bardzo starannie. Strój jego był nadzwyczaj prosty na pozór, ale wistocie wyszukany i robiony u najlepszego krawca na Regent-Street. Innych jak angielskie suknie hrabia nie mógł ani nosić ani znieść.

Nie mógł się nie podobać hrabia tak był miły, grzeczny, dowcipny, tak umiał rozmawiać, tak się potrafił z najwyższym zawsze znaleść taktem. Istny gentleman angielski, obrał sobie za wzór lordów izby wyższéj i na nich się z wielkiem powodzeniem wymodelował. Co do przekonań i barwy politycznéj, był torysem najczystszéj wody, a polskiego nie miał w sobie nic i przyznawał się otwarcie że się o to najpilniéj starał, by się odpolonizować. Na naród do którego miał nieszczęście, jak powiadał należeć, zapatrywał się ze znanego bardzo stanowiska najwyższéj pogardy i wstrętu. Dosyć ażeby co było polskiem, by dlań się stało niemiłem. Obyczaje, cnoty, wady potępiał znajdując zawsze ironiczną stronę we wszystkiem, z któréj się prześmiewać lubił.

Typ to wcale nie wyjątkowy. Mamy niestety, Polaków takich mnóstwo, którzy jeśli nie mówią jak hrabia, myślą jak on.

Stosunki w kraju ograniczały się dla hrabiego światem urzędowym i małą liczbą tych domów, które się starają doń zbliżyć i należeć. Poniżéj już dlań nie było ludzi z któremi by nawet zmuszony raczył przestawać... to była już ta nieznośna polonia, któréj nie cierpiał. Jeśli wypadkiem dłużéj się w kraju zabawił a w cudzym gdzieś domu zaprezentowano mu kogo, naprzód starał się ręki nie podać, potém cofał nieco, pozdrawiał ukłonem dumnym, nie mówił słowa i oddalał się dając do zrozumienia iż zbliżać się nie myśli.

Za granicą hrabia wcale tak przebierającym nie był, w Monaco i Wiesbaden zasiadał do stolika gry obok największéj hałastry europejskiéj, zapoznawał się, bywał, przyjaźnił, ale w domu!! W kraju téż zwykle z musu tylko siedział, na krótko i uciekał jak z atmosfery, którą wyżyć nie mógł.

Margocki z hr. Edmundem pospieszyli do oficyny w któréj były zawsze gotowe na przyjęcie apartamenta hrabiowskie, gdyż tam zajechał i wysiadł. Miał się przebrać i posłał do hrabinéj z zapytaniem czy będzie przyjętym i o któréj obiad. Stary hrabia inaczéj nie jadał jak najwcześniéj o siódméj, tu na wsi o trzeciéj musiała jadać hrabina, dla uniknienia wielu niedogodności, ale i ona by była wolała siódmą lub ósmą. Ponieważ już było po obiedzie, hrabia kazał sobie podać obiad w swoich pokojach, a do hrabinéj obiecał się na wieczór.

Nakarmić hrabiego było na wsi niesłychanie trudno, wykwintny smakosz, nierozumiał obiadu bezprawidłowego. Musiała być ryba, zwierzyna, lody, przekąski, nowalie, cztéry wina różne... szampan i t. p. Musiało to wszystko być podane z szykiem, a najstarsze Bordeaux bez koszyczka i stojące wydało by mu się nie do picia.

Gdy Edmund wszedł a ojciec zajęty był toaletą, rozpoczętą po podróży od kąpieli... nie można się z nim więc widzieć było, póki by się nie ubrał. Dobrą godzinę najmniéj miał młody hrabia przed sobą i poszedł z Margockim do jego mieszkania na dół.

„No, Margosiu — ciężka na ciebie przyszła godzina“, odezwał się do niego, „mama, papa i ja... Trzy błagające dłonie a raczéj garście, któreby jak najwięcéj pochwycić i ścisnąć chciały!! Wyłysiejesz do reszty...

Plenipotent się uśmiechnął.

„Z próżnego i... Salomon nie naleje“, rzekł, „przedstawię rachunki... okażę wydatki... a co zostanie... zabierzecie.“

„Tylko ci z góry powiadam ja na rachunki nie patrzę, mama ich nie rozumie, ojciec się niemi nudzi... rachuj jak chcesz a pieniądze żeby były. To moje ultimatum.“

„A jak nie będą?“ spytał Margocki.

Edmund się zamyślił: „No to od czegoż ty i twoja głowa? pożycz...“

Plenipotent się roześmiał.

„Bajeczna to rzecz dostać pieniędzy!“

„Ty umiesz i bajeczne czynić rzeczywistością...“

Przegadali tak aż do godziny w któréj się wyjścia ojca mógł spodziewać syn. Poszli. W chwilę po ich przybyciu do saloniku, drzwi się otworzyły, i stary wszedł z niezmierną czułością, wesołością, żywością ściskając syna, któremu się przez szkiełko przypatrywać zaczął.

Margockiemu podał rękę.

Mówił tylko po francuzku.

„Ty mój Margosiu — coś mi postarzałeś... Edmund zmężniał...“

Hrabia prosił siedzieć syna jakby gościa, sam siadł, dano znać o obiedzie, przeszli do małéj jadalni, gdzie kamerdyner przybyły ze starym urządził jak mógł ç e mouvais diner i zapowiedział panu, że tego dnia musi się zaspokoić tém co było, inaczéj by bowiem jak Ludwik XIV. naraził się na — czekanie!

Gospodarz był do tego przygotowany i jak mówił, il faisait bonne mine à mauvais jeu.

Rozprawiano o kursach, o koniach, o wodach — o polityce, o różnych znakomitościach stałego lądu i w. Brytanii. Hrabia był ożywiony i werwy pełen. Przy nim gaśli wszyscy.

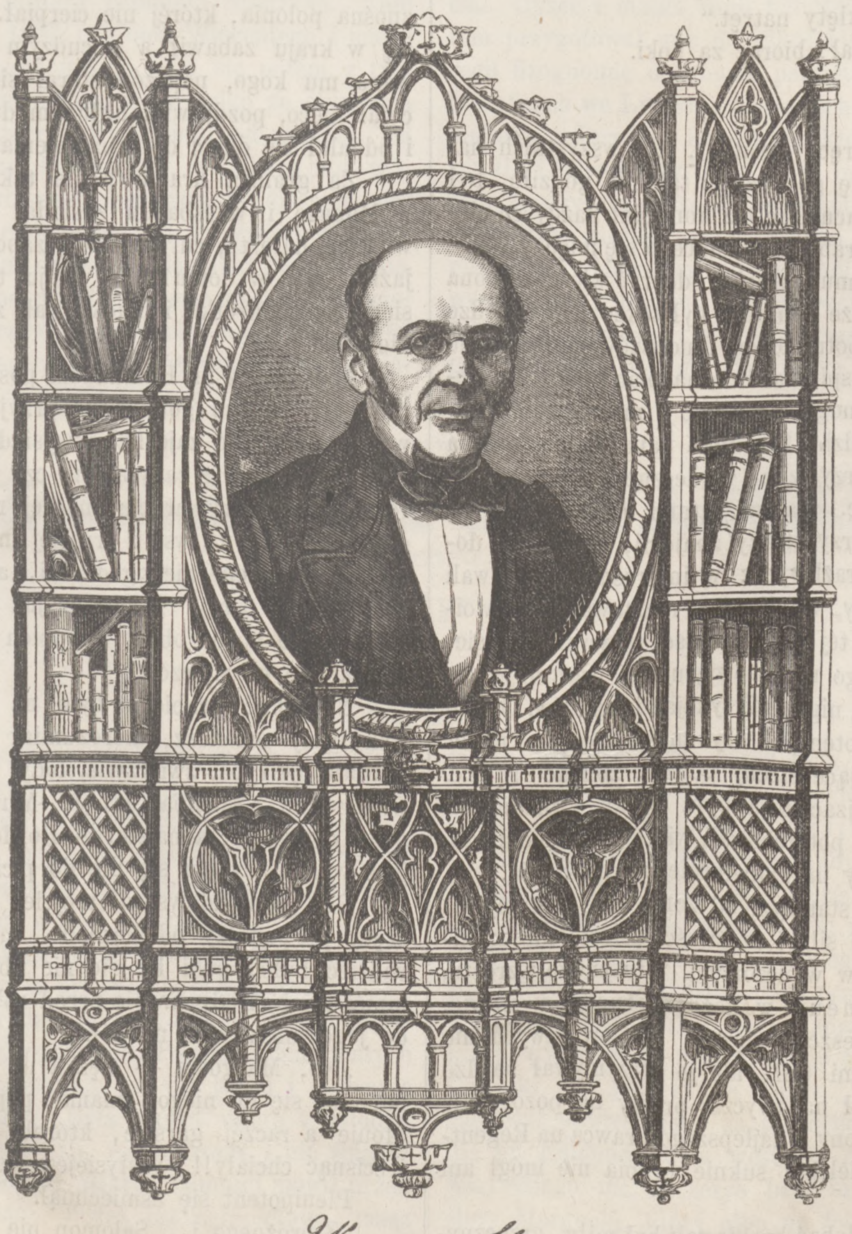
Nareszcie po czarnéj kawie, po likworze, po cygarze, kamerdyner podał kapelusz i białe rękawiczki, hrabia wybrał się pozdrowić żonę. Syn i plenipotent składali orszak jego. Na przyjęcie gościa hrabina kazała oświecić wielki salon, przywdziała suknię w któréj była raz w Tuileryach, słowém wystąpiła wiedząc że to mężowi będzie przyjemném.

Z daleka patrzący byłby poprzysiągł iż tych ludzi dwoje co najwięcéj dobremi byli znajomemi, i dobremi przyjaciółmi. Rozmowa nie tknęła nic poufalszego, ojciec tylko spytał dla formy o drugiego syna... a potém wzajem sobie przy herbacie opowiadając anegdoty z wielkiego świata, ona co jéj mówiła cesarzowa i księżna Metternich, on co mu powiadał Lord Clarendon i Gladstone... przesiedzieli najmiléj do północy, dali sobie dobranoc... i rozstali się zachwyceni sobą.

„Wiesz Carito“, odezwała się po wyjściu męża hrabina do towarzyszki, „hrabia jeszcze dziś jest jednym z najpiękniejszych mężczyzn w Europie. Quelle prestance! quel air grand seigneur! I, powiadam ci, że nic nie starzeje... cudownie zakonserwowany.“

W téj saméj prawie chwili — hrabia mówił Margockiemu: „Hrabina nieco utyła... ale co za świeżość twarzy! jaki blask w oczach... wcale jeszcze ładna, a wiesz, że ma lat pięćdziesiąt... C'est moi qui vous le dit.“

Tegoż wieczora gruchnęło na folwarku, po miasteczku że hrabia przybyć raczył. Wiedziano że był wymagającym i że oddanie mu należnego hołdu przez osoby na jego ziemiach osiadłe, uważał za obowiązek. Przygotowano się więc nazajutrz spytawszy o godzinę. Zwykle w takich razach zbierało się co żyło we frakach do salki w oficynie, na godzinę jedenastą. Tu czekano od kwadransa do trzech — drzwi się otwierały i dostojny pan wchodził w rannym surducie pozdrowić swych wiernych... poddanych... Zresztą grzecznym dla nich był nadzwyczajnie, ale grzeczność jego mroziła i odpychała. Jako dobry katolik — co do form zewnętrznych — księży witał naprzód, potém obchodził do koła wszystkich i łaskawie pozdrawiał z kolei słowem lub dwoma. Jeśli zaś kto miał nieszczęście na niełaskę zasłużyć, karany bywał milczeniem. Po



J. Korzeniowski

odbytéj ceremonii uciekało wszystko, szczęśliwe że się jéj zbyło... do domów, a czasem ksiądz lub ktoś potrzebny zostawał, jeśli naprzykład, zamierzano u niego dostać pieniędzy.

I tym razem ceremonia powitalna odbyła się uroczyście. Ostójski przybył także z tą białą rękawiczką w ręku, a że Margocki dawno już o zamożności jego mówił, hrabia uczcił go, na wypadek gdyby miał potrzebować, kilką słowy miłemi i uśmiechem uprzejmym. Z ks. Kanonikiem zagadał hrabia o Rzymie i złośliwości Włochów, o żuawach papiezkich, o nadziei pewnéj. iż dawne ziemie oderwane od państwa kościelnego przywrócone zostaną...

Po kwandransie wszyscy jak zawsze rozeszli się, hrabia siadł odpocząć. Edmund poszedł do matki, został tylko powstrzymany Margocki, bo hrabia się chciał od niego o interesach dowiedzieć.

„Siadaj że, proszę cię bez ceremonii.“ Tak się rozpoczęła rozmowa.

„Chciałbym się coś dobrego od ciebie dowiedzieć o interesach! Mów mi! La pauvre chère comtesse, pewnie potrzebuje pieniędzy, ja ogromnie, ogromnie, przyjechałem niemając trzech tysięcy franków w kieszeni. Edmund mówił mi że ma długi. No, cóż ty nam dasz?“

Nie będziemy szczegółowo spisywali bardzo ciekawéj rozmowy hrabiego z plenipotentem, przeciągnęła się ona bardzo długo i zostawiła po sobie wrażenie przykre na dostojnym panu. Posądzał nawet plenipotenta o nieudolność, ociężałość lub... któż wie? o co gorszego może jeszcze... Bo jak to być mogło żeby nie było pieniędzy??

Gdy ludzie tego rodzaju potrzebują ich, niema najmniejszéj wymówki, pieniądze muszą być — jest dla nich rzeczą oburzającą aby im, odmawiano le premier necessaire, które często stami tysiąców się liczą. Ale jakże żyć comme un manant?

Hrabia wcale zadowolnionym nie był z plenipotenta, ukazującego same trudności, szkopuły... ciężary, niepowodzenia. Dla ukarania go zasępił się i był najpewniejszy, iż brwi zmarszczone i groźba niełaski wszystko to zmienić muszą.

Zaczęto pod koniec rozmowy o panu Edmundzie, o jego życiu, o wydatkach i t. p. Margocki miał ten dobry system iż ojcu zawsze mówił sous le sceau du secret na syna, synowi na ojca, matce na obu.

„Pan hrabia wie jak ja całą rodzinę kocham i szanuję, a pana Edmunda wielbię — ale mnie on smuci... Bo cóż to za życie?“

„Co? traci? traci? na kobiety?“

„No tego nie powiem żeby tak wiele... une actrice.“

„Przystojna? widziałeś?“

„Bardzo ładna niemeczka.“

„Hm! il faut que jeunesse se passe.“

„Ale jużby téż czas pomyśleć o ustaleniu losu, o małżeństwie. Hrabia ma zbyt miękkie serce“, dodał śmiejąc się niby dobrodusznie, „miałem tego dowód świeży.“

„A! a! powiedz że mi to!“ zawołał hrabia...

„To nawet trochę nadto seryo jakoś wygląda“, dodał Margocki, „formalnie zakochany, oszalały w córce Ostójskiego, dzierżawcy.“

„Allons donc!“

„Tak dalece, że z hrabiną roztrząsał szanse ożenienia.“

„Allons donc! czy waryat?“

„A hrabina z tą swoją anielską dobrocią zdawała się mu nietylko nie sprzeciwiać — ale potakiwać... Dla tego potrzebowałem hrabiemu to powiedzieć, boć należy temu zapobiedz.“

„Najgorzéj jest w takie rzeczy się mięszać“, rzekł stary hrabia, „nadaje się im ważność któréj nie mają. Niebezpieczeństwo jeśli jakie grozi to téj biednéj dziewczynie... no! ale co mi tam do tego! niech ojciec pilnuje!“

Margocki więcéj nie nalegał, potrzeba mu tylko było rzucić wiadomość, aby późniéj do niéj przyszyć co wypadnie.

(C. d. n.)

O STANOWISKU PRAWNEM KOBIETY

napisał

Józef Narzymski.

(Dokończenie.)

Niedawno czytałem opis podróży pewnego Francuza po Ameryce. Jechał on olbrzymią koleją łączącą Ocean Spokojny z Atlantyckim. Jedzie się tu koleją tydzień blisko bez przerwy, a wagony przepełnione były w pół-dzikimi, a raczéj zdziczałymi robotnikami. Kłótnie, spory, pojedynki i bitwy zdarzały się ciągle w wagonach tak urządzonych, że można z jednego do drugiego przechodzić. Wśród podróżnych były dwie kobiety, młode i przystojne, bez znajomego, bez przyjaciela, bez obrońcy. Ale obroną była im ich kobiecość. Przez cały czas podróży niedoznały najmniejszéj przykrości. Owszem, gdy w ich wagonie wybuchała kłótnia i ostre słowa świstać zaczynały, a dłonie w pięście się ściskać, lub sięgać po noże i rewolwery, zawsze ktoś zawołał: „kobiety są tutaj!...“ i na słowa te najzapalczywsi przeciwnicy wychodzili gdzie indziéj by spór swój zgodą lub bitką zakończyć.

A ta różnica między postępowaniem Amerykanina i Europejczyka jest naturalnym wynikiem stanowiska kobiety tu i tam. My, wierni tradycyom, przesiąkli wyobrażeniami rzymskiemi i feodalnemi, mimo woli i wiedzy może, uważamy kobietę za coś niższego od nas, za piękną istotę stworzenia by nam uśmiechem i miłością rozjaśniała życie, rodziła nas, karmiła, wychowywała. poświęcała się dla nas i płakała na naszym grobie. Kochamy ją, uwielbiamy i cenimy, ale zawsze jako własne dopełnienie, jako dodatek do nas samych — Amerykanin zaś uważa kobietę za istotę równą sobie, istniejącą dla siebie saméj, swobodną, która ma prawo tyle żądać ile sama daje, a którą jako słabą

i fizycznie bezbronną, podłością jest zaczepiać. My dla kobiet mamy galanteryę, oni uszanowanie, my je pieścimy oni je szanują.

W Ameryce też zupełne, polityczne, społeczne i prawne równouprawnienie kobiety, a raczéj jéj wyzwolenie stanie się najpierwéj faktem i ztamtąd zwolna opanuje dopiero Europę.

Jakoż dziś już nietrudno wymienić cały szereg objawów, zapowiadających dążność kobiet do zdobycia sobie właściwego stanowiska, będących pierwszą oznaką téj wielkiéj społecznéj reformy.

Mówiłem już wyżéj o Anglii i o propozycyach sławnego Milla. Wszędzie indziéj poważniéj myślący mężowie uwagę i siły swe skierowali ku podniesieniu i radykalnéj zmianie kobiecego wychowania, w tym sensie, by go zrównać z mezkiem, a obok tego uczynić praktyczném i mogącém chleb kobiecie zapewnić.

I tak n. p. we Francyi Jules Simon, i były minister Duruy zrobili dużo na téj drodze. W Niemczech prąd ten mniéj widoczny, bo też tam kobieta najbardziéj była zepchniętą i poniżoną; za to w Rosyi przybrał on wszelkie cechy gwałtowności i zafarbował się nihilizmem. Pominąwszy przecież ten charakter radykalny i przesadzony, którym się wszystkie rewolucye moskiewskie cechują, jest w gruncie i zdrowe ziarno. Kobiety tam biorą się na seryo do nauk, a mówią nawet o otworzeniu osobnych dla nich auli przy uniwersytetach.

U nas w rozmaitych częściach Polski, rozmaite też, to słabsze, to silniejsze zanotować można objawy. Jak zwykle Warszawa przoduje. Zakład prywatny kształcący kobiety w niektórych rzemiosłach, cieszy się powodzeniem, wielka ilość odczytów publicznych przepełnioną bywa kobietami. Biorą się one tam do handlu, do buchhalteryi, do rytownictwa, do fotografii. Słabe to początki, ale początki dowodzące rozbudzenia się nowych dążności i zrozumienia potrzeb czasu. W Prusach Zachodnich p. Dr. Rakowicz swojego czasu zajmował się tą sprawą, i zdawało się nawet przez chwilę, że coś praktycznego z tego wyniknie, jakiś zakład, jakaś szkoła gospodyń. Dotąd przecież pozostało to w sferze projektu.

Galicya naturalnie kuleje na ostatku, a w Galicyi Kraków. We Lwowie odczyty podobno są dosyć uczęszczane— w Krakowie bardzo nielicznie. W ostatniem tém mieście profesor Baraniecki uorganizował regularne wykłady, które wzięte razem stanowią pewien system, i mogą dać słuchaczom ogólne choć wyobrażenie o pewnych przedmiotach.

Wszystko to są naturalnie dopiero próby. Żadne prelekcye niezastąpią pierwotnego wychowania, nienaprawią błędu systematu. Ażeby przygotować kobietę do nowego ich stanowiska, trzeba ją od początku kierować inaczéj. Ale prace te przedsiebrane sporadycznie tu i owdzie, dowodzą że nie śpiemy, że wiedzeni przeczuciem niejako, próbujemy iść za duchem epoki. I chcąc niechcąc pójdziemy.

Historya, prawa odwieczne postępu i rozwoju, zresztą przykład Ameryki i Anglii przekonać musi każdego, że trochę prędzéj lub późniéj kobieta zyska równouprawnienie, bo ono jest historyczną, logiczną i cywilizacynją koniecznością. Jeżeli to zaś jest prawdą to do społeczeństwa i rządu należy wychowaniem poważnem i trzeźwem przygotowywać zwolna pokolenie kobiet, by je ta rewolucya niezasłała bezsilnemi i bezradnemi.

Samo z siebie się rozumie, że wszystko co tu powiedziano, nie ma bynajmniéj na celu apoteozować excentrycznéj emancypacyi niektórych kobiet, ani ubliżać dziś żyjącym i niewyemencypowanym, ani nareszcie niedowodzi bynajmniéj żeby autor przemawiał za kobietą — pedantem, żeby chciał obedrzeć niewiastę z tego wszystkiego, co jéj urok stanowi.

Niech mnie Bóg broni od takich herezyi!

Cała ta pogadanka dowodzi najprzód, że przez emancypacyę nierozumiem palenia cygar jak dragon, skakanie przez rowy na koniu, jak żokéj, picia szampana jak młodzież poznańska (złota), sadzenia djabłami jak gwardzista napoleoński. Wyzwolenie o jakim mowa, jest wyzwoleniem umysłowem, za czém pójść musi prawne, polityczne i społeczne.

A takie wyzwolenie jest tylko sprawiedliwością. I właśnie ten tylko, kto go żąda, ten, kto o nie woła, jest rzeczywistym przyjacielem kobiet. Patrząc na położenie tych istot pełnych serca, podniosłości, odwagi, bystrości, rozumu, człowiek z sercem musi się zapytać: dla czego one są podległe, zależne, odsadzone od praw, które pierwszy lepszy głupiec posiada?... Któż z nas po tysiąc razy niezapytał siebie, dla czego te istoty, które nas rodzą w torturach i często życie dając, same je tracą, które nas pieszczą, kołyszą, mlekiem swym karmią, oddechem rozwijają, które w serce i mózgi nasze wlewają wszystko co w nas coś warte, i zapał i miłość ojczyzny, i poświęcenie i wiarę... że te istoty, którym winniśmy potem wszystkie chwile zachwytu, wszystkie roskosze i uniesienia, one które rany nasze goją, pot ścierają z czoła, ratują od rozpaczy lub gorzéj jeszcze nudy, dla czego te istoty bez kwestyi lepsze od nas, lżejsze, wznioślejsze, w naturze szlachetniejsze, którym winniśmy i życie i to co w tém życiu jest dobrego, dla czego te istoty są uważane jak coś drugorzędnego, małoletniego, niekompletnego.

Dla czego?...

Bo są słabsze fizycznie!

Czemże więc jest ludzkość cała? Zbiorem zwierząt czy ludzi posiadających ducha?... A jeżeli jest tém drugiem, to jak może znieść panowanie siły zwierzęcéj nietylko w praktyce, ale w teoryi? Co zaś do kobiet dzisiejszych, co do kobiet naszych zwłaszcza, cześć tylko i uszanowanie im się należy, że są takiemi jakiemi są przy takim systemie wychowania i kształcenia ich. To właśnie że są takiemi, dowodzi jaką jest niesprawiedliwością krzyczącą obecne ich położenie.

Przejrzyjmy budżety państw, zobaczymy że wychowanie mężczyzn kosztuje 6, 7, w wielu miejscach 10 razy tyle co kobiet; porównajmy kurs gymnazyalny z kursem pensyi żeńskich, a przekonamy się że kobietom dają ledwo elementarny zarys nauki.

Zdawałoby się, że przy takim stanie rzeczy, każdy mąż o sto sążni nad żonę swoją górować powinien nauką i inteligencyą... Nieprawda!... częściéj daleko, zwłaszcza u nas

zdarza się wprost przeciwnie. Niewieści umysł, który zarozumiali, przywykliśmy uważać za niższy, bystrością, łatwością obejmowania przewyższa nasz i domyśla się często tego, czego my się uczyć musimy.

Czy nakoniec prawda jest że gruntowniejsze, praktyczniejsze wykształcenie, że wychowanie wyrabiające z kobiety istotę samodzielną musi ją pozbawić wdzięku, dowcipu, delikatności uczuć, wrażliwości serca, słowem téj moralnéj woni, która jak zapach róży, jest wyłączną cechą kobiecości?

Oczywiście że nie. Dla czego kobieta umiejąca algebrę lub rachunek różniczkowy, zdolna obliczyć zaćmienie słońca lub prowadzić książki handlowe, miałaby mieć mniéj wdzięku, uroku, elegancyi jak ta któréj umiejętność ogranicza się na lichéj franzuzczyźnie, mniéj więcéj poprawném brzdąkaniem na fortepianie i mglistych wiadomościach z historyi Pompadurki lub du Barry?...

Dla czego kobieta mająca poczucie swéj równości i niezależności, oddająca rękę i osobę swą człowiekowi z całą, jasną świadomością obowiązków jakie zaciąga, miałaby mieć mniéj serca, mniéj gotowości do poświęceń i ofiar, mniéj czułości, jak połowiczna istota, która nigdy swobodnie nie myślała, dla któréj wszystko jest nowością, która instynktem dopiero odgadywać musi sposoby wyjścia z trudnych położeń jakie ją w życiu spotykają, która idzie za mąż nie wiedząc dobrze, co ten krok znaczy?

Dla czego kobieta, którą Bóg stworzył na inteligentną i równą towarzyszkę męża, miałaby, spełniając właśnie to przeznaczenie, tracić przymioty sobie naturalne, wznosząc się jako człowiek, uniżać się jako kobieta?

Na te wszystkie dla czego, niema logicznego wyjaśnienia, co dowodzi że ci, którzy przemawiają za wyzwoleniem kobiet, niepodnoszą bynajmniéj świętokradzkiéj ręki na kobiecość niewiasty, i nie dążą do odarcia jéj z tych wszystkich przymiotów, które ją robią aniołem ziemi, które poniżonéj i skrępowanéj prawami, zwyczajem i wychowaniem pozwalają jednak królować, i zwolna zdobywać stanowisko należne.

Niech kobieta będzie uroczą, marzącą dziewicą, ale zamiast rojeń o drobnostkach, niech poważnie w przyszłość patrzy. Niech będzie żoną i niech jak dziś będzie osłodą i pociechą męża, ale niech będzie obok tego inteligentną towarzyszką jego i dzielną pomocnicą w trudach tego życia. Niech jak dziś będzie matką dla któréj dziecko jest wszystkiem na świecie, ale niech temu dziecku umie być przyjaciółką i powiernicą wtedy nawet, gdy ono dorośnie i świat cały myślą swą obejmie. Niechaj wreszcie, jeżeli jéj los odmówi kółka rodzinnego, niebędzie paryą wśród społeczeństwa, i przedmiotem szyderstwa lub litości, ale niech umie przejść życie sama i o własnych siłach.

Podniesienie kobiety na taką wyżynę moralną i umysłową wywrze także wpływ niezmiernie zbawienny na męską połowę ludzkości w narodzie. Wśród prawdziwie rozumnych i wykształconych kobiet, niewygodnie będzie złoconym paniczom... Piękną uprzężą, kukierem w oku, hrabską koroną na kolosalnych guzikach, arystokratycznem ziewaniem, pustym frazesem, nie będzie już można zawracać serduszek naiwnych i płytko myślących główek... Majątek nawet przestanie tak stanowczo wpływać na wybór kobiet, bo z jednéj strony trzeźwy pogląd powie każdéj, że majątek dobry jest ale przy innych przymiotach, a z drugiéj, świadomość sił własnych i zdolność dania sobie rady w każdém położeniu, zrobią kobietę dumniejszą, swobodniejszą, trudniejszą w wyborze a zarazem mniéj interesowaną.

Trzeba będzie stanąć na równi z tą istotą niby niższą żeby jéj wyrównać, trzeba się uczyć będzie.

Kończąc tę na pozór zbyt długą, a jednak tak mało wyczerpującą bogaty przedmiot, pogawędkę, zamknąć ją wypada apostrofą do tych, które ją natchnęły.

Tak, piękne czytelniczki moje, niewierzcie tym, którzy wam chcą w mówić, że skazane jesteście na wieczną zależność i niższość. To fałsz. Zadanie jakie spełniacie na świecie, rozwój historyczny waszego wyzwolenia idący ręka w rękę z rozwojem cywilizacyi, nauka Chrystusa, żywe z resztą przykłady tylu i tylu kobiet, które piętno swe na całych epokach wybiły, wszystko to dowodzi żeście równe moralnie i umysłowo tym, którzy was w kuratelę wzięli. Równouprawnienie wasze jest koniecznością i zarazem jest ogromnym krokiem na drodze postępu, lecz do faktu tego przygotować się musicie poważnem i gruntownem wykształceniem. Ale z drugiéj strony, niech to wykształcenie i ta samodzielność nie ściera z was kobiecego wdzięku, nie wysącza serca, nie ubezwładnia skrzydeł wyobraźni. Umysłem i nauką rywalizujcie z mężczyznami, sercem królujcie im jak dotąd.

Kraków. — Grudzień 1870 r.

Leonard Chodźko.*)

Uszanować zasługi długoletnie ziomka, oddać hołd jego pamięci, jest to spełnić obowiązek narodowy, wypłacić dług obywatelski. Narody dbałe o swój byt przejęte są uczuciem téj solidarności, niechże ona coraz bardziéj się manifestuje w Polakach którzy wierzą w odrodzenie ojczyzny.

Polska straciła w osobie Leonarda Chodźki jednego ze swych najgorliwszych synow, który od pół wieku bezustannie pracował na niwie ojczystéj. Urodzony na Litwie w Oborku w powiecie Oszmiańskim 6. Listopada 1800 roku, odbył swe studya w uniwersytecie Wileńskim za jego największéj świetności. Uczeń Lelewela i jego najbliższy

*) Wspomnienie to pośmiertne otrzymaliśmy od p. hr. Wł. Platera z Zurichu z prośbą o zamieszczenie w łamach Sobótki, co tém chętniéj czynimy, iż tu na miejscu zebranie szczegółów życia Leonarda Chodźki, życia spędzonego w pracy za granicami kraju, było niepodobnem.

przyjaciel, szczególnie poświęcił się badaniom historycznym. Zostawszy sekretarzem księcia Michała Ogińskiego, towarzyszył mu w różnych podróżach, i miał sposobność zebrania licznych materyałów historycznych będąc w blizkich stosunkach z Księciem. W roku 1826. przybył do Paryża z którego prawie nigdy się nieoddalał, pracując ustawicznie w dziedzinie narodowo-historycznéj, i należąc do najpopularniejszych pisarzów którzy wiadomość dziejów Polski pod różnemi formami we Francyi upowszechnili.

W roku 1831. podczas powstania narodowego, ś. p. Leonard starał się być użytecznym sprawie narodowéj przez swoje liczne z Francuzami stosunki, szczególnie zostawszy adjutantem generała Lafayette, naczelnika gwardyi narodowéj Paryża. Kiedy w tym roku pod jego przewodnictwem uformowany został Komitet francuzko-polski, dotąd istniejący pod prezydencyą P. Odilon Barrot, czynność i gorliwość Leonarda Chodźki, archiwisty i sekretarza głównego tego Komitetu, wielkie ziomkom przysługi oddały. Setki Polaków w różnych epokach udawały się do niego; każdy chciał otrzymać pomoc nieraz niepodobną do udzielenia, można sobie wystawić na jaki trud był ciągle narażony. Znosił cierpliwie i wytrwale te ciernie, pełniąc aż do grobu patryotyczny obowiązek, i jemu jedynie winniśmy że Komitet francuzko-polski dotąd istnieje.

Leonard Chodźko był obdarzony niepospolitą pamięcią; daty i fakta historyczne były u niego jakby wyryte; pełen zamiłowania do rzeczy ojczystych, przechował w obczyźnie jak najstaranniéj typ narodowy, i nawet akcent polski w mowie francuzkiéj. W 1834 roku gorliwy brał udział w Towarzystwie Litewskiem i Ziem Ruskich, które pracowało nad zespoleniem coraz większem Rusinów w sprawie narodowéj. Temu Towarzystwu winniśmy najpiękniejszy medal odbity w Paryżu na cześć powstania z 1830. roku.

Nikt lepiéj nie wyszukiwał od Leonarda Chodźki aktów i dokumentów historycznych, zbiory jego w tym względzie są niepospolite; biblioteka jego obejmuje prawie wszystko co na świecie ogłoszonem było o Polsce, lub z powodu Polski, od lat 50. Tysiące dokumentów starannie przepisanych i ułożonych stanowią może jedyny w swoim rodzaju zbiór materyałów historycznych. Moskwa czyhała na nie i starała się nabyć pod przybranemi nazwiskami, ponieważ istotnie były do nabycia za stósunkowo mały kapitał, na który jednak żaden Polak się nie zdobył. Właściciel tego skarbcu przyciśniony niedostakiem miał je sprzedać rządowi francuzkiemu. Pełnił przez wiele lat obowiązek przy różnych bibliotekach publicznych w Paryżu: i tak był pod-bibliotekarzem Sorbony i zakładu św. Genowefy, bibliotekarzem w ministeryum oświecenia, członkiem akademii w Nancy i różnych Towarzystw uczonych. Fundacya pomnika i muzeum historycznego w Rapperswylu znalazła w nim bardzo gorliwego popieracza; w czém mógł starał się być jéj użytecznym i tak winniśmy panu Chodźce posiadanie jednego z najlepszych popiersi Kościuszki, ofiarowanego naszemu bohaterowi w roku 1800 przez towarzyszów broni. Niektóre błędy historyczne w edycyi niemieckiéj wydanéj w Zurichu dzieła Talbota, l'Europe aux Européens, przez niego sprostowane zostały z upoważnieniem autora. Pisma Leonarda Chodźki są bardzo liczne, oto jest spis dokładny główniejszych we francuzkim języku wydanych w Paryżu.

1) 1829 r. Historya legjonów polskich we Włoszech, 2 tomy, z portretem generała Dąbrowskiego.
2) 1829 r. Polacy we Włoszech.
3) 1829 r. Szkic chronologiczny historyi i literatury polskiéj.
4) 1830 r. Obraz Polski dawnéj i dzisiejszéj, 2 tomy, dzieło tłomaczone w różnych językach.
5) 1831. Rzut oka na wojnę obecną między Rosyą i Polską.
6) 1831. Historya polityczna Litwy.
7) Obraz rewolucyi polskich (z kollaboracyą P. de Mancy).
8) 1831. Atlas i karty geograficzne polskie.
9) 1834. Biografia Joachima Lelewela wydana w Fontainebleau.
10) 1835 — 1837. Polska historyczna, naukowa i pomnikowa z rycinami i kartami geograficznemi, tłómaczona na język niemiecki, angielski i włoski. Rozeszło się 20,000 egzemplarzy.
11) 1837. Biografia Tadeusza Kościuszki.
12) 1855 — 1856. Historya popularna Polski, in 4to, ozdobiona rycinami i kartą geograficzną.
13) 1855. Historya Turcyi, in 4to, w poszytach illustrowanych.
14) 1861. Rzeź w Galicyi i Kraków zabrany przez Austryą w r. 1846.
15) 1862. Zbiór traktatów, konwencyi, aktów dyplomatycznych dotyczących Polski, od 1762 do 1862 r., wydany pod nazwiskiem przybranem Hr. d'Angeberg, książka wielkiego użytku.
16) 1863 — 1866. Zbiór kompletny manifestów, odezw, sprawozdań centralnego komitetu francuzko-polskiego.
17) 1866. Metropolita Kazimierz Cieciszowski.

Leonard Chodźko zostawił liczne materyały historyczne i manuskrypta; w ostatnich czasach udawał się do mnie dla wydania Podręcznika do dziejów Polski. Brał udział w kilku dziennikach francuzkich, a mianowicie w le Globe, Courrier Français i Constitutionel.

Z wiekiem stał się gorliwszym w rzeczach religijnych i wyrozumialszym w sprawach politycznych. Dożył w czerstwości umysłowéj lat 71; powierzchowność jego była szlachetna i ujmująca, a uczynność wielka. Umarł w Poitiers dokąd się tymczasem przeniósł z powodu wypadków paryzkich. Wypełnił sumiennie swoje posłannictwo na tym świecie, i dodał blasku znanéj z patryotyzmu rodzinie.

Cześć jego popiołom!

W. P.

ZEMSTA KRÓLOWÉJ

PODŁUG DICKENSA

napisała

Helena Potworowska.

(Dokończenie.)

Na te słowa królowa wydobyła inne papiery z kieszeni, (były to listy oryginalne, gdyż mnie tylko kopie ich powierzyła); podając je Markizowi rzekła: „Może te papiery łatwiéj poznasz Markizie!“ Monaldeschi zachwiał się i słowa już nie wyrzekł. „A co, Markizie! czy poznałeś twe pismo i twą pieczęć? może się zaprzesz i tego?“

Markiz zaledwie dosłyszanym głosem przyznał się do pisma i pieczęci, tłómaczył się z zarzutu, składając winę na innych ale wszystko nadaremnie. Tymczasem trzech oprawców, stojących na uboczu podczas téj rozmowy, otoczyło go w milczeniu, królowa zaś spokojnie słuchała Markiza; gdy mówić przestał, odwróciła się ze wstrętem od niego i rzekła: „Jesteś zdrajcą!“ Na te słowa oprawcy wydobyli szable; Markiz ujrzawszy je nad głową swoją, uczepił się ręki królowéj i przemocą prawie pociągnął ją za sobą w przeciwny róg sali. Przemawiał do niéj w sposób rozczulający, błagał o przebaczenie, zapewniał o najszczerszym żalu, przebąknął nawet coś o poprawie. Królowa słuchała słów tych bez gniewu, lecz żadnéj zmiany na jéj twarzy widać nie było. Było coś okropnego w jéj skamieniałym wzroku, wyrażającym niezłomne postanowienie. Wreszcie bez uniesienia wyrwała rękę Markizowi, a gdy sam pozostał, otoczyli go znowu oprawcy i równym, odmierzonym krokiem postępowali za nim.

Była to chwila milczenia. Następnie królowa zwróciła się ku mnie mówiąc: „Ojcze! ciebie obieram sędzią w téj sprawie. Powiedz, czy postępowanie moje z tym człowiekiem nie jest zupełnie legalne i czy powodują mną jakiekolwiek względy osobiste? Wszakże temu podłemu zdrajcy (tu wskazała laseczką, którą trzymała w ręką, na Markiza) daję czasu tyle, ile zechce dla usprawiedliwienia się przedemną. Słysząc to Markiz, wydobył z kieszeni kilka listów, kilka kluczyków, a podawszy je królowéj, prosił jeszcze o posłuchanie. Krystyna dała znak laseczką, a oprawcy znowu w inną cofnęli się stronę; ja także się oddaliłem i zostawiłem Markiza sam na sam z królową. Narada trwała dłużéj niż godzinę; wreszcie Krystyna znowu przywołała oprawców, poczém postąpiła ku mnie. „Ojcze!“ wyrzekła głosem dźwięcznym, czystym i stanowczym, „moja obecność tutaj już nie potrzebna, a więc twojéj pieczy powierzam tego człowieka.“ Tu wskazała znów na Markiza i tak daléj mówiła: „uczyń z nim co możesz dla zbawienia duszy jego. Ja go wskazałam na śmierć, gdyż nie potrafił dostatecznie usprawiedliwić się przedemną.“

Zadrżałem cały; nie wiem, czy wyrok własnéj śmierci bardziéj by mnie był przeraził. Markiz padł na kolana i błagał przebaczenia; i ja ukląkłem przy nim i wszelkiemi siłami starałem się ułagodzić gniew królowéj. Z najzimniejszą krwią odpowiedziała mi: „Wyrok zapadł, postanowienia mego nie zmienię. Dawniéj największe męczarnie i cierpienia były udziałem tych, co się zapominali, a przestępstwa ich, często małéj wagi, czyż można porównać z urazą, jaką mi zadał ten człowiek? Zaufałam mu, jak bratu, on zdradził to zaufanie. Zdrajcę śmiercią się karze; ja więc użyłam władzy królewskiéj i na śmierć go wskazałam.“ Temi słowy pożegnała nas Krystyna. Oprawcy tylko i ja zostaliśmy i byliśmy świadkami okropnéj rozpaczy Monaldeschiego, która już granic nie miała. Padł na kolana przedemną i z trwogą, o jakiéj konający tylko wyobrażenie mieć może, zaklinał mnie, abym się ulitował nad jego niedolą i niedozwalał zginąć tak marnie, abym raz jeszcze udał się do królowéj i ostatecznie wstawił się za nim. Oprawcy znowu zbliżali się ku mnie i ponurym głosem przywoływali do porządku, naglili do pojednania się z Bogiem i z dziwną ironią przebąkiwali coś o próżnéj stracie czasu. Ze łzami w oczach zwróciłem się do tych kamiennych ludzi, przemawiałem do rozumu, przemawiałem do serca, i nareszcie po długich wysileniach udało mi się naczelnika przekonać. On sam nawet pobiegł do królowéj i żądał powtórzenia wyroku. Chwilkę zaledwie zabawił; powrócił z pochyloną głową mówiąc te słowa: „Monaldeschi, niema już dla ciebie nadziei, nie pozostaje ci, jak tylko pojednać się z Bogiem i na śmierć się przygotować!“

„Ach, ojcze!“ jęknął Monaldeschi, „ojcze, ratuj mnie! w tobie jedyna moja nadzieja! Może ty przebłagasz królowę, ach, spróbuj raz jeszcze i nie daj mi tak młodo umierać!“ Zwróciłem się więc do oprawców i zapytałem, czy się nie wstrzymają z wykonaniem wyroku aż do mego powrotu. „Zaczekamy“, odpowiedzieli, i znowu opodal stanęli od Markiza.

Królowę zastałem samą w pokoju, lecz żadnéj na jéj twarzy nie dostrzegłem zmiany, żadnego wzruszenia. Siedziała rozparta na fotelu, jak posąg z marmuru wykuty. Użyłem wszelkich środków, poruszyłem wszystkie sprężyny, aby ją nakłonić do zmiany wyroku. Wnioskowałem, że jako królowa dzierży prawo darowania życia. Mówiłem o Chrystusie Panu, o obowiązkach chrześcianki, z których najpierwszy przebaczać nas uczy; lecz widząc, że silne me naleganie żadnego nie odniesie skutku, że nie ma żadnéj drogi do tego kamiennego serca, którego nic poruszyć nie zdoła, ośmieliłem się z własnego popędu zwrócić jéj uwagę, że się znajduje w obcym kraju, że jest w gościnie u króla francuzkiego i zapytałem się, czy obmyśliła możebne następstwa tego śmiałego kroku na ziemi francuzkiéj. Z niekłamaną obojętnością odpowiedziała mi na to, że jest panią życia i śmierci swoich poddanych, a tém samém nie potrzebuje zdawać rachunku nikomu z swego względem nich postępowania, i że tym sposobem gniewu króla francuzkiego bynajmniéj się nie obawia. Potém kazała mi się oddalić, inaczéj byłbym jeszcze cośkolwiek nadmienił. Gdy się zabierałem do wyjścia, zdawało mi się, że dostrzegłem lekką zmianę w rysach jéj twarzy; był to lekki cień wzruszenia.

Serce w piersiach mocniéj bić zaczęło, promyk nadziei rozjaśnił na chwilę wzburzone myśli i serce, zwróciłem się raz jeszcze, by korzystać z téj chwili, lecz Krystyna nie dała mi przyjść do słowa i milcząco na drzwi wskazała. Może sumienie jéj zaczęło się budzić w téj chwili, może kobieta zwyciężyła na chwilę królowę; bała się zatém, aby w takiéj chwili nie uczyniła ustępstwa z swéj strony, bo zemsta, krwawa zemsta wrzała w jéj łonie.

Z wezbraném od bólu sercem musiałem więc wrócić do mego więźnia. Ujrzawszy mnie oprawcy, pytali: „czy Monaldeschi ma żyć czy umrzeć?“

Odpowiedź wyczytali na mojéj twarzy; Markiz westchnął głęboko, lecz już słówka nie wyrzekł. Ja zaś usiadłem na ławeczce, i przywoławszy do siebie, zacząłem przygotowywać go na drogę wieczności. Wzbudzałem w nim żal serdeczny, miłość dla Boga i ufność w jego nieskończone miłosierdzie; mówiłem mu o życiu przyszłém i o marnościach tego świata. Tak przygotowany oparłszy głowę na moich kolanach, zaczął spowiedź swoją. Wtém zerwał się i krzyknął rozpaczliwie; starałem się łagodnemi uwagami uspokoić boleść skazanego, ale wszystko było napróżno. Mówiąc mięszał języki raz włoski, to znowu francuzki. Jeszcze Markiz nie skończył spowiedzi, gdy w tém wszedł kapelan królowéj.

Zerwał się na nogi i pobiegł ku niemu; nadzieja ratunku do samego końca go łudziła. O, bo nadzieja jako słońce opromienia całe życie nasze: z nami się rodzi i z nami do grobu wstępuje; a chociaż tyle razy w życiu zawiedziona, nie opuszcza nigdy i zawsze nowém światłem nas opromienia.

Długo i cicho rozmawiali Markiz z Kapelanem, trzymając się za ręce; ostatni wyrwał się nareszcie, skinął na najstarszego z oprawców, i poszli raz jeszcze do królowéj w nadziei przebłagania jéj gniewu. — Nie długo jednak zostawili nas w niepewności. — Kapelan już niepowrócił wcale, a oprawca wchodząc rzekł do Markiza: „Umrzeć musisz. Proś ojca o rozgrzeszenie.“

Słów tych domawiając, przyparł go do ściany, chcąc szpadą śmiertelny cios mu zadać. Markiz usiłował się bronić, uchwycił za ostrze i uciął sobie trzy palce. — To wszystko działo się z takim pospiechem, żem słówka wymówić nie zdołał, a nawet czasu nie miałem odwrócić się od tak strasznego widoku.

Uderzenie szpady żadnego nie zrobiło skutku, a oprawca zawołał: „Markizie! masz pancerz pod ubraniem, i równocześnie szpadą w twarz go uderzył. Monaldeschi upadł, zwrócił się ku mnie i wyjęczał: „Ojcze, ach ojcze!“ — Skoczyłem do niego, oprawcy się oddalili, Markiz ukląkł i ze szczerą skruchą dokończył spowiedzi; poczem dałem mu rozgrzeszenie, pobudzając raz jeszcze do serdecznego żalu i do przyjęcia téj śmierci z odwagą, stawiając mu zarazem przed oczy przykład Chrystusa Pana, który umierając na krzyżu przebaczał swoim nieprzyjaciołom.

Markiz z uwagą słuchał słów moich, a gdym skończył, rzucił się na ziemię; oprawcy się zbliżyli, a jeden z nich uderzył go w głowę i zranił, ale powierzchownie tylko. Nieszczęśliwy Markiz upadł na twarz; po chwili podniósł się znowu i błagał o skrócenie męczarni, prosząc jeszcze o jedno silne uderzenie. Oprawcy przychylili się do prośby jego i uderzyli kilka razy, lecz bezskutecznie; Markiz bowiem miał pod ubraniem koszulę żelazną, zachodzącą na szyję, która go broniła od cięcia. — Widząc to wszystko, przyskoczyłem raz jeszcze do Markiza, i utwierdzałem go w wierze, przedstawiając mu życie przyszłe w całym jego majestacie.

Tutaj zbliżył się najstarszy z oprawców z zapytaniem, czy już czas zadać Markizowi raz śmiertelny? Odepchnąłem go z oburzeniem od siebie, odpowiadając, że nie mnie o takie rzeczy pytać — że gdyby odemnie zależało, radbym tylko przedłużyć życie Markiza.

Uczuł oprawca że zbłądził, i grzecznemi słowy przepraszał. Na to wszedł znowu Kapelan królowéj. Ujrzawszy to Markiz, zaczołgał się do niego, objął za nogi i cichem szeptaniem zaczął się spowiadać; Kapelan słuchał go dość długo, wreszcie obrócił się ku mnie i zapytał, czy może dać mu rozgrzeszenie, co uczyniwszy za mojem zezwoleniem, wrócił się do królowéj. Oprawca zaś w téj chwili przystąpił do Markiza i cienką lancą przeszył mu gardło; tą razą zadał mu cios śmiertelny. Od téj chwili nic już Monaldeschi nie mówił, tylko ciężko bardzo przez cały kwadrans oddychał. Zbliżyłem się do niego i odmówiłem pacierze nad konającymi. Skończył nareszcie to życie doczesne o wpół do czwartéj po południu; konanie jego trwało więc przeszło trzy godziny.

Oprawcy przeszukawszy jego kieszenie, i nic nie znalazłszy prócz książki do nabożeństwa, wolnym oddalili się krokiem, zostawiając mnie samego z ciałem. A ja, odmówiwszy „de profundis“ poszedłem oznajmić królowéj, że rozkazy jéj zostały wypełnione. Gdym wszedł do jéj pokoju, i oznajmił, że Monaldeschi żyć przestał, dostrzegłem na jéj twarzy jakieś głębokie wzruszenie; lecz dotąd oczy zatrzymały ów martwy i zimny wyraz, a głos jéj był tak czysty i pewny, jak w chwili, gdy wyrok śmierci wydała. Do mnie mówiła bardzo mało; powtarzała tylko półgłosem: umarł, lecz na śmierć zasłużył. Ojcze, dodała, zajmij się jego pogrzebem, ja zajmę się duszą jego; zakupię mszą św., każę się modlić, a Bóg łaskawy w swéj dobroci raczy mu przebaczyć. Kazałem potém zaraz złożyć ciało do trumny i odwieść na cmentarz, a w poniedziałek 12 Listopada o wpół do siódméj wieczorem Monaldeschi został pochowany w parafialnym kościele w Aron.

We wtorek królowa przysłała 100 funtów szterlingów w złocie na msze za spoczynek duszy jego.

Na tem kończy się opowiadanie ojca Le Bel. Nadmienić tu jeszcze nam wypada, że zbrodnia ta, popełniona przez Krystynę we feodalnych czasach byłaby przeszła niepostrzeżona; lecz popełniona we Francyi, w 17. wieku, wywołała jak największe oburzenie. Kardynał Mazarin, pierwszy minister owego czasu, temi słowy odezwał się do królowéj: „Zbrodnia, wywołana twym rozkazem, królowo, zmusza mnie do wzbronienia ci wstępu do dworu i do rozkazu opuszczenia kraju monarchy mego, który tak jak każdy dobrze myślący człowiek wzdryga się na samą myśl zbrodni.“

Na podobne wezwanie odpowiedziała Krystyna słowami, które są niezatartém świadectwem jéj charakteru i sposobu myślenia:

Panie Mazarin!

Nie wiem, kto ci doniósł o śmierci mego Koniuszego Monaldeschiego, lecz zdaje się, że ten, co cię o tem uwiadomił, okoliczności nie znał. Jesteś poprostu śmiesznym, kompromitując tyle ludzi dla tak błachego faktu. Jednakże postępowanie twoje, aczkolwiek śmieszne, nie dziwi mnie wcale; trudno tylko mi pojąć, jakiem prawem ty i król twój poważacie się ganić, choćby tylko sądzić postępowanie moje. Zważcie więc wszyscy, jak jesteście: panowie i służebni, wielcy i mali! Oświadczam to publicznie, że jeżeli tak postąpiłam, to jedynie dla tego, że taka była moja wola; z działań zaś moich nikomu tłomaczyć się nie myślę, a najmniéj takiemu jak ty błaznowi.

Powiedz każdemu, ktokolwiek słuchać cię zechce, i pamiętaj sam, że Krystyna mało sobie co robi z dworu waszego, a jeszcze mniéj z ciebie. Jeśli chcę się zemścić, nie potrzebuję ani twéj pomocy, ani twéj władzy do tego. Honor mój wymagał tego, co zrobiłam, wola moja jest prawem mojem, a ty staraj się ją uszanować. Wiedz, że wszędzie, gdzie mieszkam, jestem królową, a dwór mój, z kogobądź złożony, zawsze lepszy od ciebie i mirmidonów, którzy służą tobie. Usłuchaj rady Mazarinie, i staraj się o łaskę moją na przyszłość.

Niechaj Cię Bóg broni od złośliwych uwag nad mém postępowaniem. Pamiętaj, że ja się wszystkiego dowiem, choćby na innym krańcu świata, a wtedy biada tobie! Pamiętaj, że pomiędzy dworzanami memi wiele mam przyjaciół, a przy boku ludzi, pilnie przestrzegających praw moich, lepszych niezawodnie od twoich. To tylko od nich cię wyróżnia, że moi mniéj są płatni.

Krystyna wkrótce opuściła Francyę; czuła dobrze, że po takim liście do pierwszego ministra dłużéj tutaj pozostać nie mogła.

Trzy lata jeszcze błąkała się po świecie. Tymczasem Gustaw Adolf umarł, a Krystyna wróciła znowu do kraju, chcąc objąć panowanie. Lecz tutaj zbrodnia jéj została ukaraną, gdyż poczciwy naród szwedzki nie chciał się oddać w ręce królowéj, która tak haniebnego i okrutnego dopuściła się występku, i która wiary ojców się zaparła.

Musiała się więc poddać Krystyna — może pierwszy raz w życiu — twardéj konieczności i opuścić kraj rodzinny; w przeciwnym razie straciłaby nie tylko koronę, ale i majątek. Udała się do Rzymu i tam zamieszkała.

Umarła roku 1698. Na nagrobku wyryte były tylko te słowa: „Krystyna żyła lat 62,“ słowa, te jéj dowodzą najlepiéj twardego i nieugiętego charakteru.

Kossowo, dnia 4. Sierpnia 1870.

LISTY Z USTRONIA.

IV.

Do dziś dnia jeszcze brzęczą nam w uszach wasze stłuczone szyby na sercach cięża kamienie, któremi was zbombardowano. Pamiętny ten dzień większe mieć może skutki niżeliby się spodziewać można; jest ci to wypowiedzenie wojny. Nie zawsze i słabym pogardzać i siły nadużywać się godzi. Nie licząc moralnego znaczenia faktu, który chluby narodowi nie przynosi; następstwa jego w blizkiem sąsiedztwie i na inny sposób uczuć się dać mogą. Dołożywszy do stłuczonych rozbite złudzenia, odpowiedzią w parlamencie, mamy sobie co zapisać dla wiadomości przyszłych pokoleń i ku poprawie tych, którzy w lepsze uczucie a w jakąkolwiek sprawiedliwość wiarę mieli. — Mimowolnie na wstępie tego listu wymknęła się nam wzmianka — trudno zamilczeć o tém co boli. Nowin też nader mało, nie tylko u nas lecz wszędzie, ze świata literatury i sztuki. Zdrętwiałe oczekiwanie objęło wszystkich; we Francyi krwią pisze się złowroga karta dziejowa, w Niemczech literatura wojenna panuje prawie wyłącznie, o Włoszech mało wiemy, w Anglii miesi się tylko chléb powszedni... U nas, jeśli się jeszcze gdzie nieco życia budzi to, na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu, w Królestwie, tam, gdzie o to życie najcięźéj walczyć przychodzi. Obiad dla Koeniga, owacye dla Deotymy, czytanie Wandy, obrazy z niéj, siedmioramienny świecznik i statuetka złożone jéj w ofierze, choćby nawet niefortunne pokuszenia Dzikowskich, wszystko to świadczy iż tam się coś rusza i coś żyje... Nie godzi się pominąć ani przedruku nowego dzieł I. Korzeniowskiego, który licznych znalazł abonentów, ani nowego wydania dzieł A. Fredry, przedsiębranego przez PP. Gebethnera i Wolffa, ani ogłoszonéj Encyklopedyi rolniczéj, któréj redaktorów imiona, dozwalają wróżyć dzieło poważne. O drobniejszych przedsiebiorstwach warszawskich rozpisywać się trudno — dosyć że istnieją. Do dzienników nawet przybyć ma coś w rodzaju Figara paryzkiego, na co p. Z. Sarnecki miał już otrzymać konsens. Kuryer Warszawski rozłożył się w arkuszyk, illustrowane pisma wcale szczęśliwie współzawodnicząc idą daléj, a obok nich wyrastają jeszcze takie, popularne i tanie jak Opiekun. Wprawdzie, obok tego można by postawić w Poznaniu urosłego **Orędownika**, w Krakowie wystrzelające Coś, we Lwowie zapowiedziany kwartalny — **Przyrodnik**, ale my tu, jakoś przywykliśmy do efemerycznego zjawiania się przedsiebierstw, które nie długo potrwawszy, giną. W Królestwie niema tak ostro zarysowanych obozów i tak dobitnie odróżniających się przekonań, bo je wszystkie do jednego mianownika sprowadza Cenzura. W Galicyi i Poznańskiem klerykalne stronnictwo zwarło się i wydzieliło, a wywołany przez nie rozłam wpłynął i na literaturę i na dziennikarstwo. Jednym ze skutków najwidoczniejszych dotąd, to że czytelnicy dla obu walczących zobojętnieli. Słowem, nie na różach jesteśmy... ale też to czasy nie różane. Smutno po świecie — człowiek uciekać musi po troszę z placu boju, aby gdzie pod cieniem wypocząć. Taki wypoczynek dla ducha daje nie wielka liczba dzieł, które drażliwych kwestyi czasu nie tykają i dozwalają odetchnąć w czyściejszéj atmosferze. Spodziewamy się miłego wytchnienia naprzykład, w zapowiedzianych Pamiętnikach Niemcewicza, o których obszerniéj nieco rozpowie w tych dniach Tydzień drezdeński. Jest to uratowany rękopism, który sam czcigodny autor miał do końca życia za stracony. Szczęściem znalazł się on, ocalono go i oto wychodzi z pod prasy, aby nas przenieść w mało znaną epokę bytu księstwa Warszawskiego i pierwsze lata po wskrzeszeniu (tak zwaném) Królestwa. Niemcewicz stworzonym był do pisania takiego Pamiętnika. Jak w jego wspomnieniach malują się żywo ludzie, kilką częstokroć pochwyceni rysami! Zobaczycie, przekonacie się, bo jesteśmy pewni że ten nowy Pamiętnik będzie w ręku wszystkich. Dla dopełnienia jego, zapewne też powtórzy się wydanie krótkiego pamiętniczka dla przyjaciół napisanego około 1840, a wydrukowanego w 1848, podróży do Ameryki i przejażdżka po kraju. Nowy dziennik obejmie około trzech, może nawet trzy spore tomy. W Dreznie także ukaże się równie ciekawy, do bliższych nas dosięgający czasów Pamiętnik księcia Stanisława Jabłonowskiego, szczególniéj dla roku 1831, zajmujący i pełen żywych szczegółów... Nie zabrakło by nam czem żywić czytelników naszych, gdybyśmy tylko ich mieli. Najsmutniejsza to rzecz iż z dniem każdym ubywa czytających, młodzi w większéj części są apatyczni na wszystko, sta-

rzy nas opuszczają, jedni niemają czasu, drudzy woli, a ci coby pragnęli pracować niemają środków. Z pewnością czyta u nas najwięcéj tych którym książki kupować trudno. Dla tego też zakładanie czytelni świeckich po wsiach, na które by się po kilka domów składało, a potém w końcu roku dzieliło nabytemi książkami, rozpowszechnić by koniecznie należało. Widzieliśmy je kwitnące w Królestwie. — Do wydanych w Warszawie miłych i pięknych rzeczy, doliczmy Felicyana „Odgłosy z gór" które już was zapewne dojść musiały. Jest to prawdziwy poeta, który znajdzie współczucie i ocenienie u wszystkich ludzi smaku i wykształcenia. W Krakowie Pamiętnik autora Czarnéj księgi W. Czaplickiego, którego wyszedł tom pierwszy, a wyborny Dra Łepkowskiego Przewodnik dla miłośników sztuki (wydanie Tow. Oświaty) są najpiękniejszemi nowościami. O pierwszym tylko kilka słów powiedzieć możemy, gdyż drugi nas jeszcze nie doszedł. Towarzystwo Oświaty, nie ma zwyczaju redakcyom rozsyłać swych nowości, a że one nie zawsze wszystko nabywać mogą, o wydaniach jego często długo nikt nic nie wie. Tak jest dotąd z obrazami W. Pola, o którego ożenieniu już zapewne słyszeliście — bo o niem krótko donosiły pisma nasze. Ociemniały poeta mieć będzie przyjazną dłoń, która mu ciernistą ścieżkę jego życia, łatwiejszą do przebycia uczyni. Tak pojęte małżeństwo jako związek serdeczny i ofiarny, nam się przynajmniéj wydaje piękniejszém może niż połączenie młodziuchnéj pary i najgorętszych uczuć wiosennych. — Czaplickiego Pamiętnik rozpoczyna się od r. 1848... kreśli on wyrazisto czasy tego upojenia, które w krótce bomby rozproszyć miały. Dziś nam trudno pojąć, téj łatwowierności własnéj z jakąśmy tylekroć ufali złudzeniom, niepojętym prawie, lecz możemyż zaręczyć ażeby nas znowu na podobną wędkę nie wzięto? Jedną ze scen Pamiętnika najciekawszych jest wzięcie autora do wojska, dokonane z machjawelizmem, z cynicznością oburzającą. Są tu też obrazy z wojny węgierskiéj, a w ogóle wiele materyału do przeszłości — z której nie wiele skorzystaliśmy podobno.

Jak u was, tak w Krakowie i Lwowie, odczyty w znacznéj liczbie obok niemniéj licznych koncertów, cały czas postu zajęły. Kraków słuchał Prof. Szujskiego i Tarnowskiego, we Lwowie wielkie powodzenie miała pani Dobieszewska (Śmigielska) — w Warszawie anibym potrafił zebrać imion prelegentów i prelegentek. Tu prawie zawsze nawet sale były pełne, choć odczyty następowały po sobie żywo i musiały rywalizować z teatrami amatorskiemi, żywemi obrazy, koncertami bez miary. Wprawdzie Warszawa jest najludniejszém z miast polskich, lecz więcéj też w niéj ognia, ochoty, ciekawości, zajęcia, ruchu, niż gdziekolwiek indziéj. Młodzież i starzy — nie śpią... Mieliście i panowie też w Poznaniu odczyty, o których Dziennik wspominał... w większéj części o przedmiotach dotykających powszednich prac i stósunków... Poznańskie i Prusy odznaczają się wśród ziem dawniej polskich kierunkiem realistycznym. I nie dziw, mają do zwalczenia bardzo rzeczywiste i twarde współzawodnictwa na drodze chleba i bytu, muszą też im wszystkie siły poświęcić. Pomimo to ośmielilibyśmy się westchnąć nad tém, iż w rachubę za mało tu wchodzą te siły jakie daje poczucie sztuki i zrozumienie piękna. Znakomity ekonomista Carcy zbił przecie fałszywe pojęcia o nieprodukcyjności tych objawów. Znając naturę ludzką, wiemy iż są dźwignie i motory, które ubocznie życie do ruchu i działania budzą, i choć pozornie zdają się niewytwarzającemi, tworzeniu bardzo rzeczywistemu dzielnie posiłkują. Są to jak w farbierstwie owe mordant, które barwie przyjęcie się ułatwiają. Właśnie pod wpływem ludzi, z najpiękniejszych pobudek, ciasno przecie widzących zadanie teraźniejszości, poznańskie ogołocone jest dotąd ze wszystkiego coby w niem artystyczny zmysł rozwijać mogło. Spodziewamy się po teatrze, znajdzie się później wystawa obrazów... i t. d, i t. d. W całym Krakowie, we Lwowie, w Warszawie artystyczne towarzystwa dosyć się wiodą szczęśliwie, w Poznańskiém i Prusach, bodaj z zasady, przesadzonéj a przeto sfałszowanéj, nikt nie śmie ani chce spróbować nawet czyby się coś podobnego powieść mogło. Im dzielniéj na innem polu: rolnictwa, przemysłu, rękodzieł pracują te prowincye, tém by słuszniéj należało się im to antidotum przeciwko rozkochaniu w mierzwie i bałwochwalstwie merynosów. Sztuką samą jako samą sobą żyć wprawdzie nie można, ale bez niéj, jak bez soli, niesmaczne życie — tego dowodzić niema potrzeby. Jedną z dziś najpomyślniéj kwitnących wystaw naszych, jest niezawodnie krakowska, chociaż warszawska wspanialéj jest instalowaną i ma własny gmach, urządzony z wielkim smakiem. W Krakowie ciemne są bardzo sale, dosyć ciasne, iść do nich trzeba na drugie piętro, mimo to nagradza trud, tak pięknemi utworami jak są Juliusza Kossaka hetmańskie stado, lub Kostisa sprzedaż ostatniéj chudoby. Kossaka rysunki tak są u nas powszechnie znane i cenione, że się o nich rozpisywać nie potrzeba. Wielki miłośnik starego szlacheckiego żywota, koni, myśliwstwa, celuje Kossak w tych scenach paskowskich: Kostis dał się dopiero poznać kilkoma kompozycyami, które powszechną zwróciły uwagę. Pierwsza którąśmy oglądali wystawia pobór do wojska; druga jest ta o której mówimy. W obu główną zaletą jest przedziwna charakterystyka, żywo z natury wzięta. W poborze do wojska, rekruci, urzędnicy, rodziny... każda z twarzy zdawała się wprost sfotografowaną z życia, ukradzioną, a z dziwną trafności smaku i uczucia dobraną, do całości obrazu, na pół smutnego, pół humorystycznego. Taż sama zaleta skromnéj ale ślicznéj chaty górala, z któréj ostatnią kozę uprowadza żydek... Chłop, dziecię a szczególniéj baba stojąca pod piecem, to arcydzieła których by się Knaus nie powstydził — koloryt cichy, skromny a harmonijny. Patrząc na ten mały dramacik, łzy niemal stoją w oczach. Z Gdańska jest znanego artysty p. Stryjowskiego, odpoczynek Flisaków, tego samego którego niegdyś Illustrirte Zeitung dała Synagogę w czasie nabożeństwa, wiele innych robót, którym przypatrzeć się trudno wśród mroku jaki panuje w salach, mają też swe zalety. Oprocz wspomnianych artystów, Antoni Zaleski znany z kompozycyi do Paska, Welery Eliasz którego Żółkiewski pod Cecorą otrzymał premium w Wiedniu, wyborny rysownik, illustrator i malarz (mieliście jego obrazy w Poznaniu), Gryglewski perspektywista, Mirecki, prof. Łuszczkiewicz; zamieszkują w Krakowie. Nie mówię już nawet o Matejce, bo o tym któżby nie wiedział? Unija właśnie w téj chwili dostała się szczęściem, wytrzymawszy oblężenie paryzkie, na wystawę do Londynu... Ponieważ Niemcy się bardzo skarżą na to że ich tam pokrzywdzono pakując do ciemnych kątów, obawiamy się aby jako austryackiego obywatela i Matejkę naszego los ten nie spotkał. Szczęściem on tak sam mów za sobą, żeby się wstydzono, nie oddać mu sprawiedliwości — krzywdziłoby to mniemanych sędziów nie jego.

B. Bolesławita.

Szarada.

Pierwsza i druga to kolor nam znaczy,
Druga i trzecia to ulga w rozpaczy.
Wszystko to fraszka, lecz gdzie ją znajdziemy,
Szukamy w niéj myśli i tém się bawiemy.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 15: *Kawiarka.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu F. Le: w Monachium: Bardzo będziemy mu wdzięczni — o dobry rysunek jest bardzo trudno. — Panu hr. Władysławowi Plater w Zurichu: Dziękujemy. Stosując się do życzenia wydrukowaliśmy. — Panu Sewerynowi H.: Poczta a nie ekspedycya jest odpowiedzialną. — Panu R. T. w Poznaniu: Zechciéj Pan nazwisko swe wyjawić; przynajmniéj Redekcyi musi ono być wiadomem. — Pani M. N. pod Przemyślem: Wysłaliśmy. Za wyrażone w liście względy dla pisma naszego serdecznie dziękujemy. — Panu X. Y. pod Kościanem: Nikogo niechcieliśmy obrazić; źle Pan sobie myśl inkryminowaną tłomaczy. Niech to cośmy powiedzieli wystarczy na usprawiedliwienie nasze.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)